

HARLAN COBEN

Kilka sekund od śmierci

Thriller



Rozdział 1

Są w życiu chwile, które wszystko zmieniają.

Nie mówię o takich drobnych sprawach, jak – powiedzmy – które płatki owsiane będą twoimi ulubionymi, czy w liceum będziesz chodził na kursy przygotowawcze na poziomie uniwersyteckim, w której dziewczynie się zakochasz albo gdzie będziesz mieszkał przez następne dwadzieścia lat. Mam na myśli gruntowną zmianę. W jednym momencie twój świat jest taki, a w następnym – pstryk! – całkiem się zmienia. Wszystko, co uważałeś za niezmienną rzeczywistość, wszystkie reguły, wywraca się do góry nogami.

I tak góra staje się dołem. Lewa ręka zamienia się w prawą. Śmierć staje się życiem.

Patrząc na tę fotografię, uświadomiłem sobie, że taka gwałtowna zmiana zawsze zachodzi w ciągu zaledwie kilku sekund. To, co widziałem, nie miało sensu, więc zamrugałem i popatrzyłem jeszcze raz – jakbym się spodziewał, że coś na tym zdjęciu się zmieni. Nic się nie zmieniło.

To była stara czarno-biała fotografia. Szybko policzywszy w myślach, doszedłem do wniosku, że została zrobiona prawie siedemdziesiąt lat temu.

– To niemożliwe – powiedziałem.

Nie mówiłem do siebie, wyjaśniam na wypadek, gdybyście pomyśleli, że jestem czubkiem. (Co i tak wkrótce pomyślicie). Mówiłem do Nietoperzycy. Stała kilka kroków ode mnie w tej swojej białej sukni i milczała. Miałem wrażenie, że jej długie siwe włosy poruszały się nawet wtedy, gdy stała nieruchomo. Jej skóra była cienka i pomarszczona jak stary dokument, który ktoś zbyt wiele razy składał i rozkładał.

Nawet jeśli nie znacie akurat tej Nietoperzycy, to jakąś znacie na pewno. To ta upiorna staruszka, która mieszka w niesamowitym domu w pobliżu. Każde miasteczko ma taką. Na szkolnym podwórku słyszy się opowieści o wszystkich tych okropnych rzeczach, jakie ci robi, jeśli kiedyś cię złapie. Gdy jesteś mały, trzymasz się od niej z daleka, a gdy jesteś trochę starszy – w moim przypadku druga klasa liceum – no cóż, wciąż trzymasz się z daleka, ponieważ, chociaż wiesz, że to nonsens i jesteś za duży, żeby wierzyć w takie bajdy, jej dom nadal cię przeraża.

A jednak byłem tu, w jej legowisku, i gapilem się na fotografię ukazującą coś, co – jak wiedziałem – nie mogło być tym, na co mi wyglądało.

– Co to za facet? – zapytałem.

Jej głos skrzypiał jak stare deski podłogi pod naszymi nogami.

– Rzeźnik z Łodzi – szepnęła.

Mężczyzna na zdjęciu nosił mundur Waffen SS z drugiej wojny światowej. Krótko mówiąc, był sadystycznym nazi-
stą, który – według Nietoperzycy – zamordował mnóstwo
ludzi, w tym jej ojca.

– A kiedy zostało zrobione to zdjęcie?

Nietoperzyca wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.

– Nie jestem pewna. Chyba w tysiąc dziewięćset czter-
dziestym drugim lub czterdziestym trzecim roku.

Znów popatrzyłem na mężczyznę na zdjęciu. Myśli wi-
rowały mi w głowie. Nic nie miało sensu. Usiłowałem trzy-
mać się tego, czego byłem pewny: wiedziałem, że nazywam
się Mickey Bolitar. Dobry początek. Jestem synem Brada
(zmarłego) i Kitty (na odwyku) Bolitarów, a teraz pozostaję
pod opieką mojego wujka, Myrona Bolitara (którego tole-
ruję). Uczęszczam do liceum w Kasselton, gdzie jestem no-
wym, próbującym się dopasować, a ta fotografia świadczy
o tym, że albo mam omamy, albo zwariowałem.

– Co się stało, Mickey? – zapytała Nietoperzyca.

– Co się stało? – powtórzyłem. – Żartuje pani, prawda?

– Nie rozumiem.

– To jest Rzeźnik z Łodzi? – Wskazałem zdjęcie.

– Tak.

– I sądzi pani, że zginął pod koniec drugiej wojny świa-
towej?

– Tak mi powiedziano. Mickey, czy ty coś wiesz?

Wróciłem myślami do mojego pierwszego spotkania

z Nietoperzycą. Szedłem do nowej szkoły, gdy nagle pojawiła się w drzwiach zaniedbanego domu. O mało nie wrzasnąłem. Wyciągnęła do mnie chudą rękę i powiedziała kilka słów, które uderzyły mnie jak cios pięścią: „Mickey – nie miałem pojęcia, skąd zna moje imię – twój ojciec nie umarł”.

Od tego rozpoczęła się szalona podróż, która zaprowadziła mnie do... do tego zdjęcia.

Oderwałem od niego wzrok.

– Dlaczego mi to pani powiedziała?

– Co powiedziałam?

– Że mój ojciec nie umarł. Dlaczego mi to pani powiedziała?

Milczała.

– Przecież ja tam byłem – tłumaczyłem drżącym głosem. – Na własne oczy widziałem, jak umiera. Dlaczego powiedziała pani coś takiego?

– Powiedz mi, powiedz, co pamiętasz – poprosiła skrzekliwym głosem.

– Poważnie?

W milczeniu podwinęła rękaw sukni i pokazała mi tatuaż, który świadczył o tym, że przeżyła obóz śmierci w Auschwitz.

– Ja ci opowiedziałam, jak umarł mój ojciec – przypomniała. – Teraz twoja kolej. Powiedz, co się stało.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Rozejrzałem się po ciemnym pokoju. Na starym adapterze wirował winylo-

wy krążek z piosenką *Time Stands Still* HorsePower. Moja mama była fanką tego zespołu. Kiedy była celebrytką, zanim pojawiłem się na świecie i przekreśliłem wszystkie jej marzenia, chodziła z nimi na przyjęcia. Nad kominkiem Nietoperzycy stało to przekłute zdjęcie, ukazujące piątkę hipisów z lat sześćdziesiątych we własnoręcznie farbowanych koszulkach z motylem na piersi.

– Powiedz – powtórzyła Nietoperzyca.

Zamknąłem oczy i odetchnąłem głęboko. Tak trudno było tam wrócić, a jednak wydawało mi się, że robię to każdej nocy.

– Jechaliśmy do San Diego, mój ojciec i ja. Grało radio. Śmialiśmy się.

To pamiętałem najlepiej. Sposób, w jaki się śmiał.

– W porządku. Co było potem?

– Na nasz pas zjechał SUV i zderzył się z nami czołowo. Bum i tyle. – Zamilkłem na moment. Niemal czułem ten straszliwy wstrząs, napór pasa bezpieczeństwa i nagły skok w ciemność. – Samochód dachował. Kiedy się ocknąłem, byłem uwięziony. Strażacy próbowali mnie uwolnić.

– A twój ojciec?

Spojrzałem na nią.

– Pani знаła mojego ojca, prawda? Wujek mówił mi, że był w tym domu, kiedy był mały.

Nie odpowiedziała.

– Twój ojciec. Co się z nim stało? – nalegała.

– Pani wie.

– Powiedz mi.

Widziałem go oczami duszy.

– Tata leżał na plecach. Miał zamknięte oczy. Wokół jego głowy zbierała się kałuża krwi.

Serce podskoczyło mi do gardła.

Nietoperzyca wyciągnęła do mnie kościstą rękę.

– W porządku.

– Nie – warknąłem gniewnie – nic nie jest w porządku. Ani trochę. Ponieważ, widzi pani, ojcem zajmował się sanitariusz. Miał jasne włosy i zielone oczy i w końcu na mnie popatrzył, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, pokręcił głową. Tylko raz. I wiedziałem. Wyraz jego twarzy powiedział mi wszystko. To był koniec. Mój ojciec nie żył. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem, był ojciec leżący na noszach, zabierany przez tego sanitariusza o jasnych włosach i zielonych oczach.

Nietoperzyca milczała.

– A to? – Wskazałem czarno-białą fotografię i powiedziałem zduszonym głosem, ze łzami spływającymi po twarzy: – To nie jest zdjęcie jakiegoś starego nazisty. To zdjęcie tego sanitariusza.

Twarz Nietoperzycy, już w najbielszym odcieniu bieli, zrobiła się jeszcze bledsza.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Pani Rzeźnik z Łodzi. To on był tym sanitariuszem, który zabrał mojego ojca.

Jej reakcja mnie zaskoczyła.

– Jestem zmęczona, Mickey. Musisz już iść.

– Żartuje pani sobie, prawda? Kim jest ten facet? Dlaczego zabrał mojego ojca?

Uniosła rękę do ust.

– Czasem pragniemy czegoś tak bardzo, że bierzemy nasze życzenia za prawdę. Rozumiesz?

– Ja wcale nie chcę, żeby to było zdjęcie tamtego sanitariusza. Tak po prostu jest.

Pokręciła głową, a jej sięgające do pasa włosy zafalowały.

– Pamięć jest taka zawodna. Przekonasz się o tym, kiedy będziesz starszy.

– Mówi pani, że się mylę?

– Gdyby Rzeźnik jakimś cudem przeżył, dziś miałby prawie dziewięćdziesiąt lat. Byłby za stary na sanitariusza.

– Wcale nie mówiłem, że to dziewięćdziesięcioletek. Jest w tym samym wieku, co ten na zdjęciu.

Nietoperzyca popatrzyła na mnie tak, jakbym to ja był stuknięty. Nagle uświadomiłem sobie, jak to wszystko brzmi – jak majaczenie wariata. Piosenka się skończyła i zaczęła następna. Nietoperzyca cofnęła się o krok, zamiatając drewnianą podłogę rąbkiem białej sukni. Przeszyła mnie wzrokiem.

– No co? – spytałem.

– Czas, żebyś już poszedł. I może nie zobaczysz mnie przez jakiś czas.

– Nie rozumiem.

– Pomyliłeś się.

Łzy stanęły mi w oczach.

– Myśli pani, że mógłbym zapomnieć tę twarz? Sposób, w jaki na mnie spojrzał, zanim zabrał mojego ojca?

W jej głosie zabrzmiała stalowa nuta.

– Wyjdź, Mickey.

– Nie...

– Wynoś się!

Rozdział 2

Godzinę później siedziałem na podwórku za moim domem – a raczej za domem mojego wujka Myrona – i opowiadałem o tym Emie. Jak zawsze była ubrana w czerni pasującą do odcienia jej włosów. Oczy miała podkreślone czarnym tuszem, na środkowym palcu nosiła pierścionek z trupa czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami, a w uszach więcej kolczyków, niż mogłem zliczyć.

Zazwyczaj była w ponurym nastroju, ale teraz patrzyła na mnie tak, jakby nagle wyrosła mi trzecia ręka.

- I tak po prostu wyszedłeś? – spytała.
- A co miałem zrobić? Wydusić ze staruszki informacje?
- Nie wiem. Ale jak mogłeś tak po prostu wyjść?
- Ona poszła na górę. Co powinienem zrobić, pójść za nią? Założmy, że... Sam nie wiem... Założmy, że zaczęłyby się rozbierać albo coś.
- Faj – prychnęła Ema. – To by było ohydne.
- Widzisz?

Ema nie skończyła jeszcze piętnastu lat, ale zrobiła już sobie sporo tatuaży. Nie miała nawet metra sześćdziesięciu i przez większość naszej społeczności była uważana za otyłą. Kiedy poznaliśmy się zaledwie kilka tygodni temu, podczas lunchu siedziała sama przy stoliku dla wyrzutków. Twierdziła, że tak woli.

Teraz spojrzała na czarno-białe zdjęcie.

– Mickey?

– Taak?

– Chyba nie wierzysz, że to ten sam facet.

– Wiem, że to brzmi głupio, ale...

Urwałem.

Ema miała coś w sobie. Pancerz, który pokazywała całemu światu, był gruby i brzydki. Nie była ładna, ale kiedy patrzyła na mnie – tak jak teraz – wielkimi piwnymi oczami, z malującymi się na twarzy skupieniem i troską, wyglądała cudownie.

– Mów – zachęciła mnie.

– Ten wypadek – zacząłem – to była najgorsza chwila w moim życiu razy dziesięć. Ojciec... – Napłynęła fala wspomnień. Byłem jedynakiem. Przez prawie całe moje życie mieszkaliśmy za granicą, radośnie przemierzając najbardziej odludne zakątki świata. Uważałem, że jesteśmy beztroskimi nomadami, członkami międzynarodowej bohemy pracującymi dla różnych organizacji dobroczynnych. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele się za tym kryło.

– W porządku – szepnęła Ema.

Jednak trudno mi było powiedzieć coś więcej. Kiedy tak dużo podróżujesz, nie masz wielu (a właściwie żadnych) przyjaciół. Był to jeden z powodów, dla których tak bardzo chciałem gdzieś osiąść, a ojciec w końcu zrezygnował z pracy, pojechał z nami do Kalifornii, zapisał mnie do prawdziwej szkoły i... no cóż, umarł. Tak więc widzicie, że to, co zdarzyło się po naszym powrocie do Stanów Zjednoczonych – śmierć ojca, staczanie się matki – było moją winą. Jakkolwiek by na to patrzeć, odpowiedzialny za to wszystko byłem ja.

– Jeśli nie chcesz mi powiedzieć... – zaczęła Ema.

– Nie, chcę.

Znów spojrzała na mnie tymi wielkimi oczami, które wydawały się takie skupione, pełne zrozumienia i sympatii.

– Ten wypadek zabrał mi wszystko – podjąłem. – Zginął ojciec. Mama się załamała.

Nie fatygowałem się opisywaniem tego, co się działo ze mną – że jestem przekonany, iż nigdy się z tym nie pogodzę. To nie miało już znaczenia. Próbowałem wrócić do sanitariusza i mężczyzny z fotografii.

– Kiedy doświadczysz czegoś takiego – teraz mówiłem trochę wolniej – kiedy coś wydarzy się tak nagle i zniszczy całe twoje życie... pamiętasz wszystko, co było z tym związane. Każdy szczegół. Czy to, co mówię, ma sens?

– Jasne.

– No więc ten sanitariusz... On pierwszy mi powiedział, że ojciec odszedł. Trudno zapomnieć, jak ktoś taki wyglądał. Trudno i już.

Przez minutę siedzieliśmy w milczeniu. Spojrzałem na obręcz kosza. Wujek Myron, kiedy się dowiedział, że będę z nim mieszkał, zamocował nową. Obaj znajdowaliśmy pocieszenie w koszykówce, w powolnym dryblowaniu, w rzutach z wysokości, w dźwięku, jaki wydaje piłka, przelatując przez siatkę. Koszykówka to jedyne, co łączy mnie z wujkiem, z którym muszę mieszkać i któremu nie mogę do końca wybaczyć.

Nie mogę wybaczyć jemu i chyba nie mogę wybaczyć sobie.

Może to jeszcze jedna rzecz, która łączy mnie z wujkiem Myronem.

– Nie urwij mi głowy, dobrze? – odezwała się Ema.

– Dobrze.

– Rozumiem wszystko, co powiedziałaś. Wiesz o tym. I... no cóż, miniony tydzień był zwariowany. O tym także wiem. Czy jednak możemy przez moment spojrzeć na to racjonalnie?

– Nie.

– Co?

– Wiem, jak to wygląda, jeśli spojrzeć na to racjonalnie. Jakbym nadawał się do domu bez klamek.

Ema się uśmiechnęła.

– No taak, coś w tym jest. Jednak na wszelki wypadek omówmy to krok po kroku, dobrze? Żeby się upewnić, że niczego nie pokręciłam.

Niechętnie skinąłem głową.

– Po pierwsze – podniosła palec z paznokciem pomalowanym lakierem w kolorze pinot noir – w zeszłym tygodniu, idąc do szkoły, przechodzisz obok domu tej niesamowitej Nietoperzycy i chociaż jej nie znasz i nigdy wcześniej nie widziałeś, ona mówi ci, że twój ojciec żyje.

– Zgadza się.

– Upiorne, no nie? Chcę powiedzieć: skąd wiedziała, kim jesteś, że twój ojciec zginął, i co ją napadło, żeby mówić coś takiego?

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie. Zatem przejdźmy do punktu drugiego. – Ema podniosła drugi palec, ten, na którym nosiła pierścionek z trupa czaszką, z paznokciem pomalowanym kanarkowożółtym lakierem. – Tydzień później, kiedy udaliśmy się do piekła i z powrotem, Nietoperzyca mówi ci, że naprawdę nazywa się Lizzy Sobek i jest tą słynną bohaterką, której od zakończenia drugiej wojny światowej nikt nie widział. Potem wręcza ci zdjęcie tego starego nazisty, który zabił jej ojca. A ty uważasz, że to ten sam mężczyzna, który zabrał twojego ojca na noszach. – Ema rozłożyła ręce. – Czy tak można to podsumować?

– Owszem.

– W porządku, teraz do czegoś dochodzimy.

– Naprawdę?

Uciszyła mnie machnięciem ręki.

– Na moment pominiemy to, że ten facet jakimś cudem przez siedemdziesiąt lat nie postarzał się ani o jeden dzień.

– Dobrze.

– Jest jeszcze coś: zawsze opisujesz tego sanitariusza jako blondyna o zielonych oczach.

– Zgadza się.

– To zapamiętałeś najlepiej, prawda? Zielone oczy. Zda się, że mówiłeś, iż miały żółte obwódki wokół źrenic czy coś takiego.

– Zgadza się. I co?

– Wiesz co, Mickey? – Ema przechyliła głowę, jej głos złagodniał. – To jest czarno-biała fotografia.

Nic nie powiedziałem.

– Nie widać na niej innych kolorów. Skąd mógłbyś wiedzieć, na przykład, że jego oczy były zielone? Nie mógłbyś, prawda?

– Chyba nie – usłyszałem swój głos.

– No to wyłożmy kawę na ławę. Który scenariusz jest bardziej prawdopodobny? Ten, w którym Rzeźnik z Łodzi trochę przypomina sanitariusza, a resztę sobie wyobraziłeś, czy ten, w którym dziewięćdziesięcioletni nazista jest teraz młodym sanitariuszem pracującym w Kalifornii?

Oczywiście miała rację. Wiedziałem, że nie myślę trzeźwo. W zeszłym tygodniu zostałem pobity i niemal zamordowany. Widziałem, jak człowiek dostał kulę w głowę, i musiałem stać bezradnie, podczas gdy Emie o mało nie poderżnięto gardła.

Nie wspominając o najbardziej szokującej sprawie.

Ema wstała, otrzepała ubranie i zaczęła się zbierać.

- Muszę już iść.
- Dokąd?
- Zobaczymy się jutro.

Wciąż tak robiła – znikąca.

- Pozwól mi się odprowadzić – poprosiłem.

Ema wzięła się pod boki i ściągnęła brwi.

- Robi się późno. Może być niebezpiecznie.
- Żartujesz sobie, prawda? A ile ja mam lat, cztery?

Jednak nie o to chodziło. Z jakiegoś powodu Ema nie chciała pokazać mi, gdzie mieszka. Zawsze znikąca w lesie. Szybko staliśmy się bliskimi przyjaciółmi, może najlepszymi, jakich oboje kiedykolwiek mieliśmy, lecz nadal sporo przed sobą zatajaliśmy.

Kiedy Ema była już na końcu podwórka, przystanęła.

- Mickey?
- Co?
- To zdjęcie...
- Tak?

Zastanowiła się, zanim to powiedziała.

- Nie uważam cię za wariata.

Czekałem, aż powie coś więcej. Nie zrobiła tego.

– Więc co? Jeśli nie jestem wariatem, to kim? Żywię złudne nadzieje?

Ema zastanowiła się nad tym.

- Pewnie tak. Jednak jest jeszcze druga strona medalu.
- Jaka?
- Może ja też zwariowałam, ale ci wierzę.

Wstałem i podszedłem do niej. Mam metr dziewięćdziesiąt, więc jestem o wiele od niej wyższy. Tworzyliśmy dziwną parę.

Spojrzała na mnie i powiedziała:

– Nie wiem jak ani dlaczego i, owszem, znam wszystkie argumenty przeciwko temu, jednak ci wierzę.

Byłem jej taki wdzięczny, że chciało mi się płakać.

– Pytanie tylko, co z tym zrobimy? – dodała Ema.

Uniosłem brew.

– My?

– Jasne.

– Nie tym razem, Emo. Nie będę już więcej narażał cię na niebezpieczeństwo.

Znowu ściągnęła brwi.

– Dlaczego jesteś taki protekcyjny?

– Sam muszę sobie z tym poradzić.

– Nie, Mickey, nie musisz. Cokolwiek to jest, ta sprawa dotycząca ciebie i Nietoperzy, wchodzę w to.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc poprzestałem na następującej propozycji:

– Prześpijmy się z tym i porozmawiajmy rano, dobrze?

Odwróciła się i zamierzała odejść.

– Wiesz, co jest zabawne? – rzuciła przez ramię.

– Co?

– To wszystko zaczęło się od stukniętej staruszki mówiącej ci, że twój ojciec żyje. Teraz jednak... cóż... wcale nie mam pewności, czy ona jest stuknięta.

Ema znikła w mroku nocy. Ja podniosłem piłkę i zatopiłem się – tak, wiem, jak to zabrzmi – w graniczącej z zen sztuce rzucania. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, tęskniłem za odrobiną spokoju i ciszy.

Jednak nie było mi to dane.

Myślałem, że jest niedobrze, ale wkrótce dowiedziałem się, że może być jeszcze gorzej.